

SZKOLNY KURIER PATRIOTYCZNY

*„Ojczyzna- kiedy myślę-
wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam...
Z niej się wyłaniam...
Gdy myślę Ojczyzna –
By zamknąć ją w sobie jak skarb.
Jak poszerzyć tę przestrzeń,
Którą wypełnia.”*

Jan Paweł II, Myśląc Ojczyzna

NUMER **3**

**POŚWIĘCONY SYBIRAKOM
I RODZINIE POLICYJNEJ 1939**

**NASZĄ DEWIZĄ SĄ SŁOWA TAKIE:
SŁUŻYĆ PRO PATRIA ET CIVITATE¹**



**UCZNIOWIE VII LO PODCZAS POWITANIA
ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH
I PIKNIKU „BEZPIECZNA POLSKA” WE WROCŁAWIU**

¹ Służyć Ojczyźnie i Społeczeństwu

POWITALIŚMY AMERYKANÓW

14 stycznia 2017 r. we Wrocławiu odbył się piknik „Bezpieczna Polska”, podczas którego wrocławianie i mieszkańcy Dolnego Śląska mogli obejrzeć pokaz sprzętu wojskowego, broni strzeleckiej i umundurowania, musztry oraz wysłuchać występu orkiestry wojskowej.



Atrakcje te połączone zostały z uroczystością oficjalnego powitania żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, którzy będą stacjonować na terenie Dolnego Śląska w kilku jednostkach – m.in. w Bolesławcu i Świątoszowie – jednostce, z którą współpracuje nasza szkoła.



Mamy nadzieję, że to otworzy nowe możliwości przed naszymi

uczniami, którzy podczas corocznych zajęć na poligonie w Świątoszowie będą mieli okazję z bliska obejrzeć sprzęt i wyposażenie wojsk amerykańskich oraz sprawdzić w praktyce swoją znajomość języka angielskiego ☺.

Może musztra po angielsku? ☺☺☺



Na razie uczniowie z klas wojskowych I i II uczestniczyli w powitaniu Amerykanów oraz w pikniku, z zainteresowaniem oglądali sprzęt wojskowy i próbowali pokonać bariery językowe....



Z pewnością na długo zapamiętają to wydarzenie, choćby dlatego, że mieli okazję na żywo zobaczyć naszych sojuszników z NATO, jak i amerykański sprzęt, który prezentowano podczas pokazów, w tym urządzenie do rozbrajania bomb

Już w tej chwili w Bolesławcu stacjonuje 2 tysiące wojsk sojuszniczych,

SZKOLNY KURIER PATRIOTYCZNY

których zadaniem jest wzmocnienie wschodniej flanki NATO, natomiast docelowo – do połowy roku ma ich być na Dolnym Śląsku 4 tysiące.

Na terenie Polski pojawią się także żołnierze angielscy i rumuńscy.



Oprócz wrażeń z powitania Amerykanów nasi uczniowie na pewno zapamiętają ... dotkliwe zimno, które dało im się we znaki w czasie pikniku i oficjalnej uroczystości powitania.



Ale przecież VII LO to szkoła dla twardzieli, więc takie drobiazgi, jak mróz i dotkliwy wiatr z pewnością nie zniechęcą uczniów klas mundurowych do poznawania tajników zawodu żołnierza...

STUDNIÓWKĘ CZAS ZACZĄĆ...

„*Poloneza* czas zacząć...” te słowa z „Pana Tadeusza” bardzo często inaugurują szkolne studniówki ... i przypominają młodzieży, że czas pędzi nieubłagane, a matura za trzy miesiące.



Pani Dyrektor Iwona Gorczyca życzyła tegorocznym abiturientom wspaniałej zabawy, niezapomnianych przeżyć, ale wyraziła także nadzieję, iż po tej wyjątkowej uroczystości - od poniedziałku - ze zdwojoną energią zabiorą się do nauki, co zaowocuje zdaniem matury, przynosząc satysfakcję zarówno młodzieży, jak i nauczycielom – tego właśnie życzyła Pani Dyrektor wszystkim obecnym na balu studniówkowym 2017, po czym odtąńczono poloneza .





Nie zabrakło też tradycyjnej – symbolicznej – lampki szampa na szczęście, aby wszystkim dopisywały szampańskie humory. Z tym akurat nie było problemu, bo zarówno młodzież, jak i nauczyciele oraz rodzice bawili się pięknie. ...

Może tylko Klaudia była na początku trochę zawiedzona, bo na stole nie było nic do jedzenia....



I CO JA TERAZ ZJEM???

Wkrótce jednak podano gorące dania, a potem i inne potrawy oraz przystawki, więc te problemy udało się rozwiązać pomyślnie ☺.

W naszej studniówce, która odbyła się 14 stycznia 2017 r. w Hotelu „Milenium”, uczestniczyli także maturzyści i nauczyciele z Liceum Integracyjnego – wspólnie tańczyliśmy poloneza i wspólnie się bawiliśmy.



ABITURIENCI LICEUM INTEGRACYJNEGO PODCZAS POLONEZA ROZPOCZYNAJĄCEGO STUDNIÓWKĘ

Jak co roku – odbyła się także sesja zdjęciowa, podczas której uczennice wszystkich klas udawały, że do studniówki i matury są w pełni profesjonalnie przygotowane, a czerwona podwiązka zapewni im szczęście nie tylko podczas studniówkowej nocy, ale i na maturze, bo oprócz rzetelnej wiedzy warto się też zabezpieczyć „szkolnymi tradycjami” – nic nie zaszkodzi, a może akurat pomogą???



Tańce i swawole tegorocznych maturzystów trwały do 4⁰⁰ rano, ale to nie znaczy, że wszyscy chcieli iść do domu. Byli też tacy, którzy gotowi byli bić „studniówkowe rekordy” i nie spieszyli się do... poniedziałkowej rzeczywistości, kiedy piękne kreacje i eleganckie garnitury trzeba będzie zastąpić książkami i solidną pracą oraz odliczaniem dni do egzaminu dojrzałości!

LEGNICCY SYBIRACY - TROCHĘ HISTORII...

Jedną z inicjatorek założenia Związku Sybiraków w Legnicy była Pani Wanda Puchała. Informację o takim zamiarze zamieszczono w „Konkretach” – na pierwsze spotkanie, które odbyło się 2 marca 1989r. w Akademii Rycerskiej, przybyło około 300 osób z całego województwa. Powołano wówczas Tymczasowy Zarząd Związku Sybiraków, którego zadaniem było powołanie struktur związku w terenie. Pierwsze posiedzenie Zarządu odbyło się 6 marca 1989 r. w kawiarni „Ratuszowa”, a 31 marca tegoż roku Zarząd podjął uchwałę o Oddziale Wojewódzkiego Związku Sybiraków w Legnicy. 24 czerwca 1989 r. Sybirakom wręczono pierwsze legitymacje Związku Sybiraków – w tym dniu otrzymały je 22 osoby. Powołano również 7 – osobowy Zarząd, w skład którego weszli: Wanda Puchała – prezes, Adam Hutyra – wiceprezes, Jerzy Wiśniewski – wiceprezes, Anna Piwnik – skarbnik, członkowie: Zofia Berlińska, Tadeusz Gołacki, Stanisław Majewicz.

W tamtym okresie powstało 15 kół terenowych Związku Sybiraków liczących około 600 członków. Pierwsze z nich powstało w Gromadce, następnie w Jaworze, Legnicy, Lubinie, Prochowicach, Paszowicach i Głogowie.

Ten pierwszy okres działalności Związku Sybiraków był bardzo trudny. Po wielkich emocjach, że wreszcie skończył się okres milczenia o losach tysięcy ludzi, którzy przebywali na tej „niehumanitarnej ziemi” bądź na niej na zawsze pozostali, Związek napotkał wiele trudności. Brak

środków finansowych i technicznych. Obok bezinteresowności działaczy Związku, znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy udzielali pomocy, dostarczali, m. in. materiałów piśmiennych, robili nieodpłatnie ksero etc. Przez dłuższy okres Związek nie miał swej siedziby. Początkowo spotykano się w Klubie Seniora przy ul. Moniuszki, w drugiej połowie 1989 r. proboszcz parafii św. Trójcy dał pokój przy ul. II Armii Wojska Polskiego, gdzie siedziba Oddziału była do 2000 r., a od 2001 r. mieści się ona w budynku Starostwa Powiatowego, na ul. II Armii WP.



**24 września 1994 r. uroczystie
poświęcono sztandar Sybiraków**

Po roku 1990 liczba członków Koła Sybiraków systematycznie

wzrastała, sięgając powyżej 2200 osób. W grudniu 2014 r. legnicki Oddział liczył 1109 członków.

Od 2010r. prezesem legnickiego Oddziału Związku Sybiraków jest Pani Maria Jurkiewicz i pełni tę funkcję do dziś. Związek prowadzi od początku swego funkcjonowania edukację historyczną i patriotyczną wśród młodzieży szkolnej, której celem jest przywracanie pamięci o zesłańcach Sybiru i przekazywanie przez świadków, a zarazem uczestników życia na „niehumanitarnej ziemi” wiedzy o przeszłości. Efektem tej współpracy są nie tylko spotkania z Sybirakami, lecz także konkursy, wieczornice, udział młodzieży w uroczystościach patriotycznych, tworzenie w placówkach oświatowych izb pamięci. Szczególnie bliską współpracę z Zarządem Oddziału utrzymują takie legnickie szkoły, jak Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 3 i Zespół Szkół Elektryczno – Mechanicznych, Gimnazjum nr 5, Zespół Szkół Budowlanych.

Dzięki staraniom Zarządu Oddziału i kół terenowych powstało wiele form pamięci dokumentujących losy Sybiraków. Są to: sztandary, obeliski, pomniki, tablice pamiątkowe, symboliczne mogiły, wota dziękczynne, nazwy ulic i placów, wydawnictwa książkowe, wspomnienia i pamiętniki, izby pamięci.

Znaki pamięci zawierają w sobie istotne przesłanie dla wszystkich Polaków, w tym w szczególności dla ludzi młodych, które brzmi „*Pamięć zmarłym, żyjącym pojednanie*”.

Legnickie formy pamięci to:

- **sztandary:** Zarządu Oddziału i Koła w Legnicy,
- **tablica pamiątkowa z urną z ziemią z Katynia** w Katedrze p.w. św. Apostołów Piotra i Pawła,
- **symboliczna mogiła Sybiraka na Cmentarzu Komunalnym,**
- **Ołtarz „Golgoty Polski”** w kościele pod wezwaniem św. Trójcy: obraz św. Rafała Kalinowskiego, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej,
- Różaniec Sybiracki z wagoników z nazwami miejsc zesłań,
- urna z ziemią z pól bitewnych i miejsc kaźni narodu polskiego,
- obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej jako wotum wdzięczności Sybiraków Matce Bożej za powrót do Ojczyzny.

17 września 2015 na placu Sybiraków w Legnicy został odsłonięty pomnik poświęcony Zesłańcom Sybiru, autorstwa legnickiego artysty Grzegorza Niemyjskiego.

Znakami historycznymi Związku Sybiraków w Polsce są:

- odznaka Związku Sybiraków
- Odznaka Honorowa Sybiraka.

Związek Sybiraków ma swój hymn „Marsz Sybiraków” – autorem słów jest Sybirak – poeta Marian Junkajtis, muzykę skomponował Czesław Majewski.



Poniżej tekst „Marszu Sybiraków”

*Z miast kresowych,
wschodnich osad i wsi,
Z rezydencji, białych dworów i chat
Myśmy wciąż do Niepodległej szli,
Szli z uporem, ponad dwieście lat!*

*Wydłużyli drogę carscy kaci,
Przez Syberię wiódł najkrótszy szlak
I w kajdanach szli Konfederaci
Mogilami znacząc polski trakt...*

*Z Insurekcji Kościuszkowskiej,
z powstań dwóch,
Szkół, barykad Warszawy i Łodzi;
Konradowski unosił się duch
I nam w marszu do Polski przewodził.*

*A myśmy szli i szli - dziesiątkowani!
Przez tajgę, stopy - płataniną dróg!
A myśmy szli i szli - niepokonani!
Aż "Cud nad Wisłą" darował nam Bóg!*

*Z miast kresowych,
wschodnich osad i wsi,
Szkół, urzędów i kamienic i chat:
Myśmy znów do Niepodległej szli,
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.*

*Bo od września, od siedemnastego,
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:
Przez lód spod bieguna północnego,
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!*

*Na nieludzkiej ziemi znowu polski trakt
Wyznaczyły bezimienne krzyże...
Nie zatrzymał nas czerwony kat.
Bo przed nami Polska - coraz bliżej!*

*I myśmy szli i szli - dziesiątkowani!
Choć zdradą pragnął nas podzielić
wróg...
I przez Ludową przeszliśmy -
niepokonani
Aż Wolna Polskę raczył wrócić Bóg!!!*



WSPOMNIENIA LEGNICKICH SYBIRACZEK

WSPOMNIENIA PANI WANDY PUCHAŁY



„...Po załadowaniu nas na stojące przed domem furmanki, dotarliśmy do stacji kolejowej w Baranowiczach, gdzie czekały na nas bydlęce wagony... W środku wagonu było bardzo ciemno, na środku stał żelazny piecyk, a obok okrągły otwór przykryty blachą, który służył za toaletę. Po obu stronach wagonu były drewniane prycze, które służyły nam nie tylko do spania, ale stanowiły miejsce przebywania... W wagonie mieściło się ok. 40 – 50 osób. W naszym transporcie przebywali przeważnie starcy i matki z dziećmi. W czasie podróży bardzo dużo osób chorowało. Słysząc było jęki, płacz i modlitwę do Boga, by nas ocalił. Dawano nam raz dziennie zupę z chlebem oraz kipyatki... Wreszcie po trzech tygodniach dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Była ciemna noc. Nie było widać żadnego budynku. Umieszczono nas w dużym namiocie wojskowym. Gdy nastąpił świt, zaczęto nas rozmieszczać w opuszczonych przez wcześniejszych zesłańców ziemiankach. Pouczono nas, że mamy je doprowadzić do stanu używalności, bo przyjdzie zima, która jest bardzo sroga, mrozy dochodzą do minus 40 stopni, a nawet do minus 50. Był to dla nas ciężki okres do przeżycia. Zmiana klimatu i inne

warunki egzystencji miały negatywny wpływ na nasze samopoczucie. Ja (najmłodsza w rodzinie) z siostrą Grażyną musiałam zbierać „kiziaki” (łajno zwierzęce), które po wysuszeniu służyły jako opał...”²



Dzieci na Syberii zatrudniano też przy robotach leśnych

„...W 1944 r. zostaliśmy przesiedleni na Ukrainę do sowchozu „Miód”, rejon jarowski, obl. Dniepropietrowsk. Mamusia i brat pracowali w kołchozie; brat jako traktorzysta, a Mama w transporcie i przy pracach polowych... Tam po raz pierwszy zobaczyłam piękne sady, pola, na których rosły arbuzy, domy z ogródkami, w których mieszkali Ukraińcy. Była większa okazja, aby coś ukraść, aby zaspokoić głód. Wszystkich zesłańców zakwaterowano w jednym baraku.

W naszym pokoju o powierzchni 30 m kw. mieszkały trzy rodziny: my – cztery osoby, państwo Biegańscy – 4 osoby i Pani Zosia Pomianowska (osoba samotna). Dla każdej rodziny przeznaczone było zbite z desek łóżko wyścielone słomą i przykryte jakąś szarą szmatą. Pani Zosia Pomianowska była bardzo schorowana, dlatego nie

² Wspomnienia pochodzą z publikacji „Legniccy Sybiracy”, Maria Kubasik, Legnica 2015.

mogła ciężko pracować. Na życie zarabiała, robiąc na drutach... Wokół niej skupiały się dzieci, gdyż pięknie opowiadała bajki... Jej widok mam ciągle przed oczyma. Widzę ją siedzącą, nogi owrzodzone, a po odzieży w szeregu wędrujące wszy. Słuchaliśmy jej opowiadań z zapartym tchem, a zwłaszcza o królach mieszkających w pięknych pałacach i zamkach. Opowieści o pięknych miastach w Polsce i pięknych domach pomogły nam przetrwać poniewierkę i ciężkie chwile...”³



POLACY DEPORTOWANI DO KAZACHSTANU

WSPOMNIENIA PANI

MARIA JURKIEWICZ

„...Nasze mamy płakały, rozpaczały i myślały co dalej robić? Muszą iść do pracy, inaczej wszyscy poumieramy. Mamy postanowiły rozdzielić się, tzn.



moja mama zgłosiła się do pracy na barkach, a stryjenka pozostała w Krasnojarsku z czwórką dzieci (autorka wspomnień, jej siostra oraz dzieci stryjenki: Fredzia 3 lata, Tadzio 6 miesięcy). Kiedy szła do pracy, z nami zostawała staruszka Polka, która

³ Op. Cit, s. 86

mieszkała obok naszego baraku. I tak nasza mama musiała nas opuścić, pływała na barkach od Krasnojarska aż do Morza Północnego, tam dowozili żywność skazańcom, którzy nigdy nie wrócili. U nas w Krasnojarsku jest coraz gorzej. Przywieziono transport dzieci w różnym wieku. Dzieci zostały pozbierane z całego terenu Krasnojarskiego Kraju. Rodzice lub matki poumierały, a dzieci zostały same, czyli sieroty. Dzieci miały jechać dalej, czyli w tajgę. Moja stryjenka wpadła na pomysł: zabrała naszą czwórkę i pojechaliśmy ze wszystkimi dziećmi. Były to dzieci w różnym wieku, a więc od wieku żłobka aż do nawet 12-go roku życia. Było nas ok. 300 osób. Był to 1941 r. Wieziono nas ciężarowymi samochodami, a później saniami przez tajgę do miejscowości Porog nad rzeką Jenisej (ponad 200 km od Krasnojarska).



DZIECI POLSKIE NA SYBERII

Nikt tu nie mieszkał. Stały bardzo stare baraki, było ich cztery... W głębi tajgi, ok. 1,5 km od nas, był jeszcze jeden barak, tam później mieszkała kucharka, dwie krawcowe, moja stryjenka, a od 1943 r. moja mama, która wróciła z pracy na barkach, była praczką... W dzień głód, ciągle boli mnie brzuszek – tak stale powtarzałam. Przynoszono nam zupę, którą trudno było zjeść, ponieważ drapała mnie w gardle. W zupie tej pływały jakieś plewy, nie mogłam tego przełknąć. Kiedy nastało lato, starsze dziewczęta zabierały nas do lasu...

W trawie szukałyśmy poziomek albo owoce podobne do truskawek. Były słodkie i smaczne. Mijaliśmy strumyki, tam rosły krzaki „smorodiny” – u nas to czarna porzeczka. Dziewczęta i chłopcy zrywali te owoce, a my chętnie zjadaliśmy. Zrywali również młode wierzchołki świerków i zjadali. Nam też to dawano do zjedzenia...



POLSKA SZKOŁA W TATARSKU

Od 1943 r. życie dzieci w sierocińcu zmieniło się na lepsze, ponieważ – jak mówiliśmy – pomaga nam sierotom – Ciocia Unra. W niedzielę wieczorem lub w święta otrzymywaliśmy po landrynce albo po pierniczku...

1 września 1945 r. zostałam przeniesiona do dużego baraku, ponieważ rozpoczął się nowy rok szkolny i ja rozpoczęłam naukę w klasie pierwszej. Już byłam razem z moją siostrą. Uczyla mnie Polka, pani Nawrot. Lubiłam się uczyć i śpiewać. Pani opowiadała nam o Polsce i mówiła, że na pewno powrócimy do niej.



**DZIECI POLSKIE
DEPORTOWANE NA SYBERIĘ**

Dzień zaczynał się modlitwą – rano śpiewaliśmy pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”, a wieczorem po wspólnej modlitwie śpiewaliśmy pieśń „Wszystkie nasze dzienne sprawy” oraz „Rotę”.

Nauczono nas śpiewać Hymn Polski (4 zwrotki)...W lecie – oprócz nauki i wychodzenia do lasu pod opieką – słuchaliśmy opowiadań starszych dziewcząt i chłopców. Opowiadali o swoich rodzicach, kiedy byli razem w domach rodzinnych, o pięknych łąkach, sadach, w których rosły jabłka, gruszki, śliwki itp. Na podwórzu lub nad rzeką na piasku rysowały owoce, nazywając ich gatunki. Mówiły, że owoce pachną i jakie mają kolory. Kiedy wrócimy do Polski – mówiły – będziemy jeść owoce...

W dni wietrzne lub deszczowe byliśmy w swoich barakach – na pryczach. Wówczas uczyły nas wierszy lub piosenek.

Często śpiewaliśmy piosenkę na melodię „Wołga, Wołga, mat’radnaja”:

Smutna wierzba u jeziora

kąpie swój złocisty włos

My z Sybiru co wieczora

Ślemy Polsce z wiatrem głos.

Poleć wietrze mej rodzinie

Jak nam smutno tutaj żyć

Jak nam długo czas tu płynie

Długo jeszcze mamy być?

Tam znam każdą rzeczkę, górę

Każdy strumień, każdy gaj.

Tutaj wszystko jest nam obce

Każdy mówi nie nasz Kraj

Boże, Ojciec Wszechmogący

Silę w tym Narodzie wzbudź

A nas Boże do Ojczyzny

wróć nas Boże, wróć, ach wróć...”⁴

⁴ Wspomnienia pochodzą z publikacji „Legniccy Sybiracy”, Maria Kubasik, Legnica 2015



JAK WYGLĄDAŁO ŻYCIE NA SYBERII? MATERIAŁY OPRACOWANE PRZEZ UCZNIÓW VII LO

Przygotowując materiały o życiu codziennym Sybiraków, uczniowie VII LO korzystali z publikacji „Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946” pod red. Stanisława Ciesielskiego.

NAJWAŻNIEJSZE NA SYBERII – ZDOBYĆ JEDZENIE...

Przetrwanie na zesłaniu zależało przede wszystkim od zdobycia pożywienia. Istniało kilka źródeł żywności: praca, zakupy na tzw. wolnym rynku i handel wymienny, pomoc uzyskiwana przez zesłańców od rodzin i znajomych z kraju, z placówek opiekuńczych polskiej ambasady, wreszcie kradzież. Wiele też zależało, oczywiście, od indywidualnej przedsiębiorczości, sił fizycznych i zasobności. Jednakże działanie tych i innych jeszcze czynników nie zmieniało pewnego wspólnego wymiaru zesłańczej tragedii, jakim było stałe niedożywienie, a często po prostu głód. **Marzenia większości zesłańców obracały się wokół dwóch spraw: jedzenia i powrotu do ojczyzny.**

SZKOLNY KURIER PATRIOTYCZNY

Szczególną, wręcz podstawową rolę, odgrywał chleb. Był dobrem pożądanym i najczęściej wówczas deficytowym. Jego dostępność lub jego brak określały poziom wyżywienia.



Lepioszki, które przypominają nasze podpłomyki, były namiastką chleba dla zesłańców na Sybir. Piekło się je na płycie kuchni lub wewnątrz wygaszonego pieca, a nieraz na rozgrzanym kamieniu przy ognisku. Placki przygotowywane były z wody i z tego, co udało się zdobyć: otrębów, prosa, ziaren traw czy maki jęczmiennej lub żytniej. Mąka pszenna była zbyt wielkim rarytasem. *W wielu relacjach Sybiraków powtarza się informacja o dzieleniu się lepioskami zamiast opłatka podczas wieczery wigilijnej.*



Wyroby z chleba zesłańców polskich na Syberii
(Z zbiorów Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu)

**POWYŻEJ WYROBY Z CHLEBA
POLSKICH ZESŁAŃCÓW NA SYBERII**

Chleb na Syberii urastał do rangi świętości – o czym świadczą

przedmioty wykonane z niego przez Polaków.

Prawo do zakupu chleba nie było równoznaczne z automatyczną możliwością jego nabycia. Jego sprzedaż odbywała się w kioskach - sklepikach zwanych "łarkami". Odbywała się popołudniem lub wieczorem, co zapewne miało ułatwić zaopatrzenie się robotnikom wracającym z pracy, jednakże prowadziło do ustawiania się kolejek na kilka godzin przed rozpoczęciem sprzedaży, nie było bowiem gwarancji, że chleba dla wszystkich wystarczy. Zadanie zajęcia dogodnego miejsca w kolejce spadało zazwyczaj na dzieci.



Zesłańcom przydzielano ciemny chleb żytni. Chleb wypiekany był w prostokątnych formach, kształtem i ciężarem przypominał cegłę, stąd też bochenek nazywano często z rosyjska "kirpiczem". Mimo że chleb należał do najtańszych produktów spożywczych, nie wszystkich zesłańców stać było na jego zakup. Czarne pieczywo była to "ciężka, kleista masa", "istna glina, po przekrojeniu więcej zostawało na nożu jak w kawalku", "całkowity zakalec cuchnący stęchłą i potwornie gorzki", "czarny jak smoła, lepki jak kit, zakalcowaty i kwaśny", mający "w przekroju

wygląd mamalygi". Wobec niedostatku pożywienia czy wręcz głodu każdy jednak zjadał chleb jak najlepszy przysmak. Przypieczony nad ogniskiem kawałek stawał się dla wygłodzonego zesłańca rarytasem wspanialszym od zapomnianego już dawno tortu.

W większości specjalnych osiedli działały stołówki. Do korzystania z nich uprawnione były zarówno osoby pracujące, jak i członkowie ich rodzin. Przygotowywane tam były na ogół posiłki dwudaniowe, niemniej większość Polaków nie mogła sobie pozwolić na kupno pełnego obiadu dla wszystkich członków rodziny, a i oferta dań była nadzwyczaj ograniczona. **Podawano "uchę" - zupę z ryb, niekiedy suszonych, gotowanych w całości; "szczy" - kapuśniak z zielonych kiszonych liści kapusty; krupnik - najczęściej z kaszy owsianej, bez ziemniaków; barszcz; zupę z łapszą (makaronem z żytniej mąki); "rosolnik" na kwasie spod ogórków itp.**



**TAK WYGLĄDA ZUPA „UCHA” –
oczywiście tu wersja współczesna –
bogata.**

Sporadycznie tylko do zupy dodawano kawałki mięsa, najczęściej końskiego. Potrawy przygotowywano z nie zawsze świeżych składników w pomieszczeniach pod względem sanitarnym pozostawiających nader wiele do życzenia.

Zesłańcy przygotowywali dania obiadowe także samodzielnie, w barakach. Jako półprodukty wykorzystywane były wielokrotnie dania stołówkowe. Kupowano np. zupę na wynos, by zanieść ją do miejsca zakwaterowania i rozcieńczyć, by starczyło na więcej porcji. Czasem tylko udawało się dodać do niej jakieś ziemniaki czy inne jarzyny lub garść mąki. Przygotowywano też potrawy całkowicie we własnym zakresie. Były to m.in. placki przyrządzane z łupin ziemniaczanych oraz placki i zupy z otręb owsianych. Powodowały one jednak przykre dolegliwości żołądkowe.

W sprawniej działających gospodarstwach robotnicy dostawali na obiad zupę z wkładką mięsną i chleb, a nawet dwa dania, np. barszcz i pierogi z serem lub kaszę jaglaną. Zdarzały się wszelako kolchozy wydające brygadam polowym tylko kaszę jęczmienną, nie zawsze okraszoną oraz polewkę z mąki. W czasie żniw dożywiano się często świeżo zebraną gotowaną lub prażoną, a nawet surową pszenicą. **„Śniadania i kolacje robiliśmy sami. Czasami wieczorem wydawano po kawałku chleba, czasem zostawiali sobie jego porcję z obiadu i jedliśmy wieczorem z gorzką kawą. Ze śniadaniem było różnie. Zdarzało się, że rodzice szli do pracy bez jedzenia”**

W wielu miejscach osiedlenia polskich zesłańców zarówno na północy, jak i w kazachstańskich stepach, poważnym problemem było zaopatrzenie w wodę. W osadach przesiedleńców często nie było studni i wodę czerpano z jezior oraz rzek i strumieni. W zimie uzyskiwano ją z topionego śniegu.

Niekiedy zesłańcy przygotowywali zamiast kawy, którą uzyskiwano dzięki wrzucaniu spalonej skórki chleba do naczynia z gotującą się wodą. W niektórych miejscowościach pito herbatę z liści borówki brusznicy w zimie, a porzeczki i maliny w lecie.

W specjalnych osiedlach zesłańcy mogli nabywać artykuły żywnościowe w sklepach. **"na półkach, gdy się zajdzie [do sklepu], widzi się jedynie kilka bochenków chleba, zapalki, machorkę i parę kawałków zwykłego mydła"**. Uboga oferta spowodowana była często nadużyciami pracowników sklepu, którzy żywność przeznaczoną dla zesłańców, rozprawiali wśród ludności miejscowej.

Zesłańcy kupowali te artykuły, których brak był w osiedlach najbardziej odczuwalny, ziemniaki, mleko dla małych dzieci, ziarno, mąkę, jajka, twaróg, niekiedy warzywa, znacznie rzadziej produkty droższe, jak tłuszcze czy mięso. **Miejscowa ludność najchętniej kupowała od zesłańców obuwie, odzież, bieliznę, także pościelową, kapy, poduszki. Za damską chustę można było dostać 75 rubli i wiadro ziemniaków**, ale tam gdzie rynek był nasycony, męski płaszcz udało się wymienić np. tylko na szklankę mleka przyniesioną codziennie przez dwa tygodnie. Niekiedy dochodziło przy tym do sytuacji paradoksalnych: zesłańcy wymieniali u miejscowych kołchoźnic chleb na mleko, twaróg i ziemniaki.

"Handlu z miejscową ludnością nie broniono. Największy popyt miały garnitury męskie i bielizna damska. Bardzo też były poszukiwane zegarki. Kosztowności i złota zbyć się nie

dawało, gdyż ludność była za bardzo uboga na ich kupowanie, a rząd sowiecki zabraniał noszenia klejnotów. Jakieś guziki świecące wywoływały tak wielki zachwyt, że chciano je odpruwać od sukni i kupować na sztuki jako broszkę. Miejscowe kobiety, nawet żony urzędników, paradowały na ulicach i tanecznych zebraniach w damskich koronkach nocnych (KOSZULACH NOCNYCH) nabytych u zesłańców".

Od lata 1940 r. do wiosny 1941 r. znaczącym źródłem zaopatrzenia były paczki przysyłane z Polski. Niektórzy deportowani otrzymywali je w miarę regularnie, inni tylko sporadycznie. Waga przesyłki była limitowana, a na Kresach przyjmowały je tylko niektóre urzędy pocztowe. Stosunkowo najwięcej paczek przychodziło na Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia. Skarbem były dostarczane w ten sposób: mąka, kasza jęczmienna lub kukurydziana, makaron zagniatany na samych żółtkach, fasola, cebula, cukier, olej, słonina lub boczek wędzony, topione masło, grysik, cukierki, rzadziej kiełbasa czy suszone mięso.

Wieczera wigilijna polskich zesłańców w łagrze Stiekony w 1953 r. na Kółmie



Zesłańcy w listach prosili przede wszystkim o tłuszcze, których brak był szczególnie dotkliwie odczuwany. Nie mniejsze znaczenie miały przysyłane

artykuły przemysłowe, a zwłaszcza odzież, bielizna, pościel, guziki, świece, igły, mydło i proszek do prania, a nawet papier listowy itp. Nie tylko zaspokajały one choć w części potrzeby własne zesłańców, ale były przedmiotem wymiany na żywność. Według zgodnej oceny zesłańców: „**paczki te były wielką pomocą dla naszych obywateli i [...] często one tylko ratowały naszych obywateli od zupełnego wyniszczenia z głodu**”, przyczyniły się niewątpliwie do przetrwania pierwszej zimy 1940/1941 r. Niebagatelna była także ich rola w podtrzymaniu ducha i woli przetrwania. Przesyłki te dowodziły bowiem, że zesłańcy nie zostali opuszczeni i zapomniani. Niektórzy zesłańcy otrzymywali także z kraju pieniądze od rodziny lub przyjaciół, czy też z tytułu sprzedaży mebli i wyposażenia domowego, czy wreszcie z organizowanych tam zbiórek.

Władze NKWD zezwalały, a niekiedy wręcz zachęcały do zakładania ogródków warzywnych na przydzielanych działkach. Przed rozpoczęciem uprawy należało ziemię przygotować, co często, np. na porębach, oznaczało konieczność wykarczowania i wywiezienia korzeni drzew i krzewów. Te ciężkie roboty odbywać się mogły jedynie w czasie wolnym, stanowiąc dodatkowe obciążenie zesłańców, a mimo to działki te cieszyły się sporym zainteresowaniem. Oprócz ziemniaków siano cebulę, marchew, buraki, brukiew, kapustę, pomidory, ogórki, koper i pietruszkę.

Nieocenionym źródłem pożywienia była przyroda. „**W rzekach łowiliśmy**

ryby. Wiosną zbieraliśmy przezimowane pod śniegiem jagody oraz żurawinę, w lecie natomiast jagody, maliny, dziko rosnącą porzeczkę, poziomki i dzikie truskawki. Często zbieraliśmy nieznane gatunki grzybów”, których spożycie często kończyło się śmiercią lub poważnym zatruciem. Polowano na drobną zwierzynę, podkradano jaja z ptasich gniazd.

W ciężkich okresach zbierano pokrzywę, skrzyp, szczaw, szukano jadalnych cebulek kwiatów, czasem do potraw dodawano sproszkowaną korę sosnową lub młode pędy świerków, Na wiosnę pito sok z brzozy. Czasem jedzono też miękkie łyko młodych drzew. Niekiedy, doprowadzone do skrajnej nędzy dzieci, zebrały o kartofle i mleko lub kawałek chleba. Czasami zmuszone były zbierać odpadki: obierki ziemniaków i kości na śmietnikach. **Zdarzało się, że wygłodniali ludzie polowali na psy i koty, nawet na szczury i żaby.** W okresach największego głodu nie gardzono mięsem świeżo padłych zwierząt m.in. krów i koni. Przed ewentualnymi zatruciami pokarmowymi próbowano się zabezpieczyć długotrwałym gotowaniem mięsa.

Nie można wreszcie pominąć jeszcze jednego sposobu pozyskiwania żywności, a mianowicie kradzieży. Podczas prac przy żniwach wynoszono ziarno w butach, w woreczkach ukrywanych pod ubraniami oraz w specjalnie przystosowanych skrytkach w samej odzieży.

„W trakcie wykopków kradliśmy ziemniaki. Kradliśmy też paszę

podawaną zwierzętom hodowlanym, plewy, nasiona różnych roślin, nawet obierki. Po zmieleniu w żarnach, można było usmażyć z tego placki."

W monotonię jadłospisu zesłańczego pewne odmiany wprowadzały święta, zwłaszcza uroczyście obchodzony 1 maja. W sklepikach pojawiały się wtedy rzadko widywane artykuły takie, jak cukier, cukierki, biały chleb, ciastka, pierniczki, kawa zbożowa - wszystko dzielone zazwyczaj po równo na tzw. dusze. Zdarzało się, że wszystkim dorosłym wydawano porcję wódki.

Sytuacja życiowa Polaków uległa pogorszeniu po wybuchu wojny radziecko - niemieckiej, wtedy też skończyły się przesyłki z Polski, mało który Polak mógł sobie pozwolić na regularne zaopatrywanie się na bazarze. Nabywane ilości były najczęściej wręcz aptekarskie: ziemniaki na sztuki, słonina na plasterki, mąka na słoiczki. **Cena kilograma mięsa, wiadra ziemniaków czy kilku litrów mleka niejednokrotnie przekraczała wysokość całomiesięcznego zarobku.**

Głód zaglądający w oczy ludności, zwłaszcza na wiosnę, skłaniał do znacznie częstszego niż przed wojną podejmowania prób zbierania kłosów pozostałych po przeszłorocznych zniwach. „...Ludzie szli i szli. Kobiety i dzieci. Polacy, Rosjanie, Niemki i Czeczenki. Boso, z workami na plecach. Ludzkie głodomory. Szkielety o spuchniętych brzuchach. Na próżno brygadziści biegali po stepie jak szatani, ostrzegając ludzi, że ziarno zawiera w sobie szkodliwe składniki, że można się nim zatruć. Tłum przybrał groźną postawę: Jeśli

nie pozwolicie nam zbierać kłosów, rozerwiemy was na sztuki, jak psy.[...] ludzie klęcząc w rozmokłych brzdach, wygrzebywali wilgotne, ciepłe kłoski. Otrzeputując z ziemi, całowali, dygoczącymi rękoma układali do worków, jak święty sakrament. Klęcząc bili pokłony przed rozżarzonym niebem, kajali się przed Boskim Miłosierdziem. Szerniałe kłoski pachniały ziemią i chlebem. Drażniły język, pędziły ślinę. [...] Wyplukane starannie w wodzie kłosy suszyliśmy w dobrze nagrzanym piecu. Tłukliśmy w wielkich drewnianych stupkach i rzucaliśmy na wrzątek tę półkaszę czy półmąkę. Z oczyma utkwionymi w garnek, czekaliśmy w milczeniu, aż strawa zacznie syczeć, bulgotać. Robiło się słabo i mdło. [...] Przeważnie nie czekaliśmy na całkowite rozgotowanie ziaren. Twardsze miażdżyliśmy zębami. [...] Zjadaliśmy naraz pięć kilogramów nareszcie gęstego żarcia, parząc języki i podniebienia".



Wszechobecny głód na Syberii najbardziej odczuwały dzieci...

Mimo heroicznych wysiłków nastawionych na odsunięcie widma głodu, był on nieodłącznym towarzyszem znakomitej większości polskich zesłańców. Jedni odczuwali go

przez dłuższe okresy, inni krócej, jedni zaglądali w oczy śmierci głodowej, inni, choć stale niedożywieni, nie przeżywali takich skrajnych stanów. Niestety, śmierć zebrała również swoje okrutne żniwo. Jak wielkie, tego nie da się już zapewne dokładnie ustalić. Słowa nie zawsze oddają tragizm tych sytuacji, jednakże warto przytoczyć kilka charakterystycznych wypowiedzi samych zesłańców. „...Nie byłam dosłownie głodna, ale miałam stale drażniące uczucie braku czegoś i doszłam do tego, że w przeciwieństwie do początków, kiedy w wyobraźni wyprawiało się prawdziwe orgie gastronomiczne, szczytem moich marzeń było mieć przed sobą szklankę mleka, na spodeczku trochę cukru i bochenek chleba, z którego by można kroić bez liczenia...”. Dramatyczniej odczuwała to inna Polka: „...Wciąż byliśmy głodni! Uczucie głodu było dominujące i spychało na dalszy plan wszystkie inne odczucia i potrzeby”. A w innym miejscu swoich wspomnień zapisała: „...Uczucie głodu towarzyszyło nam stale. Przeszło w rodzaj obsesji i zabijało wszystkie inne doznania. Nie było miejsca ani godziny, żebyśmy nie myśleli i zdobyciu czegoś do jedzenia”. Głód i widmo jego ostatecznego zwycięstwa stawały się czynnikiem przytłaczającym zesłańców: „...Najrozpaczliwsze były chwile, kiedy ostatnią garść ziarna zużywało się na zupę lub kawałek bani, zdobytej za jakąś wykonaną pracę i nie było widoku, czy znów nadarzy się coś do zjedzenia. Koszmar niepewnego jutra chodził jak cień i zatruwał życie”. Nic

dziwnego, iż myśl o zjedzeniu czegoś przekładała się w słowa modlitwy.

UBRANIE NA SYBERII

Zesłańcy z Polski trafili w rejony ZSRR charakteryzujące się bardzo trudnymi warunkami klimatycznymi. Problem odpowiedniego ubrania, a w istocie jego braku, stał się w związku z tym jednym z podstawowych czynników wyznaczających codzienność bytowania.

Olbrzymim problemem dla zesłańców był brak stosownej odzieży roboczej. „...Po 4 dniach pracy odmroziłam sobie palce u nóg. Gdy człowiek wychodził w zwykłych butach na 40-stopniowy mróz, to jakby bosą nogą po śniegu chodził”.

Potwierdza to inna relacja: „Te ubrania noszone w Polsce nie nadawały się tutaj - płaszcze, kurtki podszyte wiatrem, półbuty i trzewiki w tym kopnym śniegu czy czapki kaszkietówki i kapelusze to było nieprzydatne, krępowało ruchy i nie zabezpieczało przed dotkliwym zimnem. Rękawiczki te z Polski po tygodniu były w strzępach. Tak więc ludzie przeziębiali się, odmrażali sobie ręce, nogi i nosy.

Walonki lekkie i ciepłe to było jedyne obuwie w tym klimacie. Watowane spodnie i kurtki oraz czapki uszanki i grube rękawice robocze były dla Polaków tylko marzeniem. Wprawdzie komendant obiecywał, że jak ktoś wyrobi normę i będzie miał pieniądze, to będzie mógł kupić takie ubranie, ale jak na razie było to nieosiągalne”.



**Wymarzona kufajka, czapka uszanka
i walonek z grubego filcu
- symbol bogactwa i ciepła
dla polskich zesłańców**

Brak odpowiedniej odzieży na ogół nie zwalniał od obowiązku pracy. Odzież, obuwie i rękawice do pracy zesłańcy szyli sobie sami z przywiezionych z Polski ubrań, futer, prutek w tym celu pierzyn i kołder.

Nieziszczalnym najczęściej marzeniem były tzw. **pimy czyli grube, filcowe walonek** - najlepsze obuwie na siarczyste mrozy północy i Kazachstanu. Zesłańcy sami wytwarzali więc odpowiednie obuwie. „...pod spód wkładano słomę, stopy owijano kilkoma warstwami szmat i tak wkładano stopę do siatki zrobionej z dość grubego sznurka, końce tych sznurków ściągano i wiązano, a potem owijano krzyżnie ljdkę dość wysoko”, następnie „łapcie” okręcało się szmatami, polewało się na dworze wodą, która momentalnie zamarzała” - w efekcie cały dzień już nogi tak bardzo nie marzły”.



Typowe „łapcie”

Czasem sporządzano "obuwie" z innych dostępnych materiałów - podeszwy wykonywano z fragmentów starych opon samochodowych, które sznurkami mocowano do nogi owiniętej w szmaty.

Sytuacja poprawiła się dopiero w drugim sezonie zimowym, kiedy władze radzieckie zapewniły większe dostawy walonek, watowanych spodni i kurtek, czapek "uszane" i grubych rękawic roboczych.

Poważną pomocą stawały się rzeczy przesłane w paczkach od rodzin i znajomych w kraju. Tą drogą docierały do deportowanych m.in. kozuchy, buty, walonek, odzież wełniana, ciepła bielizna, chusty, materiały, a także artykuły, które na miejscu można było korzystnie wymienić. Czasem w paczkach docierały surowce do produkcji odzieży i obuwia na miejscu, np. filc czy skóra. Skala tej pomocy była oczywiście niewspółmierna do potrzeb i dotyczyła zaledwie części zesłańców.

Brak zapasowej odzieży powodował, iż chodzono cały czas w tych samych rzeczach. Nie były one poddawane zabiegom dezynfekcyjnym, a przy niedostatku mydła gospodarczego rzadko też były prane, więc pojawiała się wszawica odzieżowa.

Jakkolwiek zesłańcy z Polski odczuwali dramatyczny brak odpowiedniej odzieży i obuwia, to zarazem swoimi ubiorami wyróżniali się na tle miejscowej ludności. Porządne ubrania, modne sukienki, bielizna, dodatki. Ubrania ludności polskiej wywoływały zaciekawienie, stawały się przedmiotem pożądania ze strony tubylców. Niejednokrotnie zdarzały się

sytuacje groteskowe, gdy miejscowe modnisie paradowały publicznie w nocnych koszulach zakupionych od Polek, bądź gdy mężczyzna do watowanych spodni zakładał frak czy surdut przywieziony z dalekiej Polski

Niszczącą odzież starano się za wszelką cenę ratować, łatając czym się dało, cerując, łącząc różne lepiej zachowane fragmenty w jedną całość.

„...Chodziliśmy obdarci i wylatani do granic przyzwoitości. Na kolanach, lokciach i tyłku świeciły łaty, niekiedy potrójne. Pamiętam, jak wiosną 1943 roku, chcąc po pracy wysuszyć swoje watowane spodnie, noszone bez przerwy już drugi sezon z rzędu, zamiast wieszać na kołku lub drążku, stawiałem je przy piecu jak dwie sprzężone dłubanki. Były tak usztywnione wielowarstwowymi łatami, nasączone leśną żywicą, wybrudzone, a więc tak twarde, że nie zginały się pod własnym ciężarem”.

„...ludzie nasi przyjechali na południe w ostatnich ubraniach i butach. W ciągu zimy rzeczy te uległy takiemu zniszczeniu, że ledwo trzymają się kupy. Obraz ten, lepszy u jednych (zamożniejsi, przeważnie Żydzi, osiedli w miastach), u innych gorszy (łagiernicy i więźniowie) jest, przeciętnie biorąc, okropny: ludzie są dosłownie rozebrani. W najgorszym stanie są spodnie i obuwie. Dochodzi do tego, że w niektórych rodzinach jest tylko jedna para butów, tak że wychodzenie do pracy odbywa się na zmianę. Spodni dziurawych nie ma czym łatać. Palta, o ile nie zostały wymienione na żywność, są kupą lachmanów”.

Przedstawione sposoby zaopatrywania się w odzież i obuwie były jednakże dalece niewystarczające. Wszyscy niemal zesłańcy odczuwali w tym zakresie ogromne braki. Dochodziło nierzadko do sytuacji, że w poszczególnych rodzinach była tylko jedna para zdalnych do użytku w zimie butów filcowych oraz jedna sztuka cieplej odzieży wierzchniej. Regulowało to niekiedy cały rytm zajęć. Polka przebywająca w Kraju Ałtajskim tak opisała problemy z tym związane: **"Mamy jedną parę [walonek] na trzech. [...] Rano idę w tych walonkach do szkoły, w drodze powrotnej w połowie drogi spotykam siostrę Zofię, która podąża do szkoły na II zmianę. Siadamy na wysokiej zaspie, zmieniamy się obuwiami. Ja wkładam dziurawe, stare i wracam szybko do domu, aby nie odmrozić nóg. Wieczorem siostra wraca ze szkoły, mama w tych walonkach idzie na noc do pracy jako dozorca fermy za wsią pod lasem. Tam po obchodzie suszy obuwie na kotle z gorącą wodą i tak w kółko..."**.



POLSCY ZESŁAŃCY

Poza odzieżą wierzchnią brakowało także bielizny. Nawet zimą zdarzało się, że dzieci szły do szkoły bez bielizny. Niedostateczne zaopatrzenie w odzież sprzyjało licznym przypadkom

przeziębien, zachorowań na zapalenie płuc i gruźlicę oraz odmrożeniom.

WARUNKI MIESZKANIOWE

Dramatyzm sytuacji związanej z wizją głodu, brakiem odpowiedniej odzieży pogłębiały katastrofalne warunki mieszkaniowe.

Jeden z najważniejszych czynników określających położenie polskiej ludności na zesłaniu stanowiło zakwaterowanie. Zasadnicze znaczenie miał sam dach nad głową. Tylko niewielka część deportowanych uzyskała samodzielne mieszkania lub choćby izby, zapewniające minimum intymności i poczucia bezpieczeństwa. Większość musiała współgospodarować z innymi rodzinami, z miejscową ludnością różnych nacji, na ogół przy znacznym zagęszczeniu.

Warunki mieszkaniowe polskich zesłańców, ogólnie bardzo złe, były zróżnicowane w zależności od położenia geograficznego i przynależności do określonej kategorii zesłańczej. Odmienne kwaterowani byli specjaliści osiedleńcy, z reguły grupowani w barakowej zabudowie specjalnych osiedli, a inaczej mieszkali administracyjnie wysłani do Kazachstanu, którzy trafili do rosyjskich, ukraińskich, bądź kazaskich osad.

Zesłańców lokowano najczęściej w barakach posiadających jedno czy kilka dużych pomieszczeń, albo szereg mniejszych kwater, w zasadzie przeznaczonych dla jednej rodziny.

W niektórych osiedlach „...czekały na nas mniejsze budynki składające się z jednej lub dwóch izb mieszkalnych, w których umieszczano po jednej rodzinie. Wszystkie baraki

oraz domki zbudowane były z drewna sosnowego. Na ogół konstrukcja ich była bardzo prosta, wręcz prymitywna.” Szpary między deskami wypełniano mchem, który też był siedliskiem dla niezliczonych rojów pluskiew.

Wiele rodzin zesłańców trafiło do baraków posiadających pojedyncze, obliczane na kilkadziesiąt osób sale zbiorowe. W pomieszczeniach takich znajdowały się zazwyczaj prycze z nieheblowanych desek. Prycze te, często piętrowe, miały rozmiary 2 x 2 metry. Czasem wielkie sale były dzielone prowizorycznymi przepierzeniami lub tylko zasłonami, wyodrębniającymi "kwatery" dla poszczególnych rodzin. Nie wszędzie jednak udawało się wydzielić takie kwatery, zwłaszcza w mniejszych barakach. Pomieszczenia bywały przepełnione do tego stopnia, że gdy podzielono "miejsca na pryczach, to dla każdego mieszkańca wypadło 42 cm szerokości".

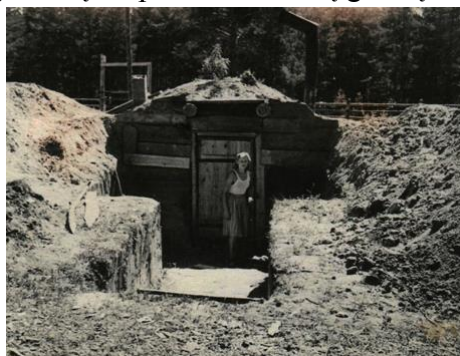


Niewiele lepsza była sytuacja tam, gdzie zesłańców lokowano w barakach podzielonych na mniejsze pomieszczenia. Teoretycznie jedna izba powinna tam przypaść jednej rodzinie. W praktyce umieszczano razem nawet 2 - 3 rodziny liczące w sumie 8 - 9 osób. Nieco lepiej bywało tam, gdzie

zesłańców rozmieszczono w domkach po przesiedlonych w pierwszej połowie lat trzydziestych "kułakach". Domki te składały się z izby mieszkalnej, kuchni, komórki, obórki na krowę i szopy na drewno opałowe. Lokowano tam jedną większą rodzinę lub dwie mniejsze.

Niezwykle ubogie było wyposażenie zesłańczych kwater. „...**W jednej izbie umieszczono po 4 rodziny. Dostaliśmy po jednym łóżku na 2 osoby, jeden stół na każdą izbę i jedno krzesło na rodzinę. Żywność trzymać musieliśmy w skrzyniach własnego pomysłu**”.

Zesłańcy osiedleni na terenach bezleśnych musieli zamieszkać w ziemiankach, niekiedy własnoręcznie wybudowanych. Typowa ziemianka miała 10 m długości i 3 m szerokości. Ściany zbudowane były z wyciętych na łące płatów darni o wymiarach 30 x 20 cm. Między warstwy darni, dla umocnienia konstrukcji, wkładano ścięte gałęzie. Ziemianki oblepiano gliną wymieszaną z krowim nawozem, a po wyschnięciu pobielano szarą gliną.



ZIEMIANKA NA SYBERII

Na wiosnę i latem 1941 r. w szeregu osiedli podjęto prace nad budową nowych baraków mieszkalnych. Tam, gdzie sami Polacy prowadzili i nadzorowali budowy, można było niekiedy dokonać drobnych ulepszeń w standardowych planach konstrukcyjnych, np. poprzez

dobudowanie przedsionków czy ubikacji lub zamontowanie potrójnych okien.



Polacy przed ziemianką w Kazachstanie

Istotnym mankamentem mieszkań zesłańczych był powszechny brak bieżącej wody. Decydowało to nie tylko o wygodzie życia, ale przede wszystkim determinowało sytuację sanitarną, sprzyjając licznym zachorowaniom, zwłaszcza na choroby układu pokarmowego. Baraki nie miały też oczywiście toalet. Drewniane toalety rozmieszczone były zazwyczaj za barakami.



TAK WYGLĄDAŁY WNĘTRZA ZIEMIANEK

W większości osiedli zesłańczych na północy jednym z ważniejszych budynków użyteczności ogólnej była "bania - rosyjska łaźnia. Typowa "bania" "składała się z dwóch pomieszczeń: „...jedno większe z ławami z desek ustawionych pionowo, gdzie odbywało się parowanie i mycie, drugie zaś mniejsze z piecem obłożonym kamieniami. Pod nimi to palono

drzewo, a potem lano na nie wodę, co powodowało powstawanie pary. Ta z kolei przedostawała się otworami do pomieszczenia, gdzie siedzieli ludzie na ławach. Mycie nie wymagało mydła, bowiem gorąca para nie tylko myła, ale i rozgrzewała organizm".

Plagą, zwłaszcza starych baraków, były roje insektów, przede wszystkim pluskiew, które kryły się w wypełnionych mchem szparach między belkami. „...W zimie pół biedy, ale co się w lecie działo, kiedy niezliczone ich ilości wędrowały do naszych łóżek, do pościeli, czepiały się ciała, nie pozwalały wcale spać. Odsuwaliśmy łóżka od ścian, smarowaliśmy je naftą, nic nie pomagało. Radzono nam, żeby nogi łóżek lokować w naczyniach z wodą, ale skąd było wziąć te naczynia". Drugą plagą były karaluchy: „...W dzień miejsce pluskiew zajmowały tarakany, które wystawiały swoje odwłoki z każdej szczeliny. Było ich tyle, że wyglądały jak nanizane na sznurku korale, rozwieszone na ścianach..".

W lecie w barakach uaktywniały się także pchły, bez litości atakując zesłańców. Sublokatorami baraków były też szczury niszczące rzeczy zesłańców, ale potrafiące niekiedy pokąsać ich samych we śnie oraz myszy. Walka z insektami i gryzoniami, prowadzona przy niedostatku podstawowych środków czystości i środków odkażających, była najczęściej skazana na niepowodzenie i stopniowo przywykano do ich towarzystwa.

Olbrzymim problemem, zwłaszcza w zimie, był brak oświetlenia. W niektórych osiedlach wydawano

wprawdzie zesłańcom lampy naftowe, ale przydział nafty do nich był bardziej niż symboliczny. W nielicznych wypadkach, głównie w osiedlach położonych w pobliżu większych miejscowości, do baraków doprowadzano światło elektryczne. Jednak po wybuchu wojny niemiecko - radzieckiej prąd odcięto.

Gdy zesłańcy trafiali do bogatego, rozwiniętego już kołchozu zamieszkanego przez Rosjan czy Ukraińców, mieli szanse na lepsze warunki mieszkaniowe: miejscem zakwaterowania mogła być nawet drewniana chata z oddzielną kuchnią i pokojem, czasem z drewnianą podłogą. Jeśli Polacy uzyskiwali dom wyłącznie dla siebie, zwykle musieli dokonywać jego remontu. Czasem dobudowywali kolejną izbę do już istniejącej lepianki. Najczęściej jednak zamieszkiwali wspólnie z miejscowymi rodzinami. Układ w takiej sytuacji bywał bardzo różny. Jeśli dom posiadał dwie izby, to bywało, że Polacy otrzymywali jedną z nich. „...gospodarze pozostawili sobie kuchnię, co nie było wcale wyrazem gościnności. Zimą było to jedyne ogrzewane pomieszczenie”. W domach jednoizbowych zesłańcy musieli zadowolić się jakimś kątem, kawałkiem klepiska. Czasem Polakom pozostawało zamieszkanie w sieni lub stajni.

Kluczową sprawą dla możliwości bytowych zesłańców, a zwłaszcza dla perspektywy przetrwania surowej zimy, było zgromadzenie odpowiedniej ilości opału. Naturalne warunki stanowiły tutaj ogromne utrudnienie z uwagi na niewielką ilość lasów, zwłaszcza w części środkowej i południowej.

Rzadko więc zesłańcy mieli możliwość zaopatrywania się w większe ilości drewna opałowego, a jeśli się ona pojawiała, najczęściej był to proceder nielegalny. Opał trzeba było przy tym często przynosić na własnych plecach z lasu czy zagajnika oddalonego o wiele kilometrów. Zimą były to wyprawy nie tylko bardzo wyczerpujące, oznaczające nieraz brnięcie po pas w śniegu, ale i wysoce niebezpieczne z uwagi na obecność wilków. Próby zakupienia drewna opałowego (chrustu) od tubylców, gdy ci je posiadali, nie przynosiły najczęściej powodzenia, natomiast zdarzało się, że w sowchozach kupowano nielegalnie pewne ilości opału przeznaczonego na zaopatrzenie instytucji sowchozowych, co oczywiście groziło karami.

Zakończenie II wojny światowej nie było jednoznaczne dla zesłańców z możliwością natychmiastowego powrotu do Ojczyzny. Ci, którym udało się tego dokonać, w większości osiedlali się jako repatrianci na tzw. ziemiach odzyskanych – czyli terenie dzisiejszego Dolnego Śląska.



**Polscy zesłańcy – repatrianci
wracający do Ojczyzny**

**TRAGICZNE LOSY
RODZIN POLSKIEJ
POLICJI GRANATOWEJ
ZESŁANYCH
DO ZWIĄZKU RADZIECKIEGO**

Przez wiele lat z naszą
szkołą współpracował **Pan
Mieczysław Dylewicz**, który
był synem przedwojennego
policjanta.

Z wielkim oddaniem i pasją opowiadał w klasach policyjnych o tym, jaką rolę pełniła granatowa policja na ziemiach odrodzonej Rzeczypospolitej po roku 1918 – utworzono ją w 1919 r. Zwracał szczególną uwagę na wysoki etos moralny policjantów.

Ci policjanci, którzy służyli po wybuchu II wojny światowej na wschodnich rubieżach Polski, zostali aresztowani i wywiezieni przez NKWD do Ostaszkowa i Miednoje – tam zginęli w tzw. „zbrodni katyńskiej”, natomiast rodziny policjantów zostały deportowane do Kazachstanu lub na Syberię.

Pan Dylewicz opowiadał także młodzieży, jak wyglądało życie na zesłaniu – będąc żywym świadkiem historii, przekazując swoje doświadczenia i wiedzę młodym pokoleniom Polaków w szkole mundurowej. To misja, którą wypełniał z wielkim oddaniem.



Dziś już nie opowie nam o swoich przeżyciach – odszedł do domu Ojca w 2015 r. Tak bardzo czekał na odsłonięcie Pomnika Zesłańców Sybiru w Legnicy, które nastąpiło 17 IX 2015r.

Odszedł na kilka dni przed tą uroczystością, jednak pamięć młodzieży VII LO o tym wspaniałym patriocie i człowieku będzie trwać.



Poniżej materiały, które znajdują się na stronie Stowarzyszenia Rodziny Policyjnej 1939, do której należał Pan Mieczysław Dylewicz – Lupa.

Przysięga składana przez granatową policję:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu na powierzonym mi stanowisku pożytek Państwa Polskiego oraz dobro publiczne mieć zawsze przed oczyma. Władzy zwierzchniej Państwa Polskiego wierności dochować,

wszystkich obywateli kraju w równym mając zachowaniu, przepisów prawa strzec pilnie, obowiązki swoje spełniać gorliwie i sumiennie, rozkazy przełożonych wykonywać dokładnie, tajemnicy urzędowej dochować. Tak mi Panie Boże dopomóż.”



Mundury granatowej policji

Rok 1918 to odzyskanie przez Państwo Polskie upragnionej niepodległości po 123 lat niewoli. Państwo musiało się zmierzyć z organizacją administracji, przemysłu, służby ochrony porządku publicznego oraz ochrony granic państwowych.

Sejm Ustawą z dnia 24 lipca 1919 roku powołał do życia Policję Państwową. Organizacja PP została dostosowana do podziału terytorialnego kraju. Komendant główny policji podporządkowany był ministrowi spraw wewnętrznych. Już 20 sierpnia 1919 roku Komendant Główny Policji Państwowej powołał sześć komend okręgowych (od 1925 roku komendy wojewódzkie); województwa warszawskiego, łódzkiego, kieleckiego, lubelskiego, białostockiego oraz miasta Warszawy.

Zasadniczymi jednostkami organizacyjnymi były:

- Komenda Główna
- Komendy wojewódzkie

- Komendy powiatowe
- Komendy miejskie
- Komisariaty i posterunki.

Stopnie PP i ich wojskowe odpowiedniki:

- posterunkowy – szeregowy/st. szeregowy
- st. posterunkowy – kapral/plutonowy
- przodownik – sierżant
- st. przodownik – st. sierżant
- aspirant – podporucznik
- podkomisarz – porucznik
- komisarz – kapitan
- nadkomisarz – major
- podinspektor – podpułkownik
- inspektor – pułkownik
- nadinspektor – generał brygady
- generalny inspektor – generał dywizji.



Przedwojenni policjanci z Puław

Policjanci budowali bezpieczeństwo odrodzonej Polski, walczyli z nadużyciami, szpiegami, także komunistycznymi, którzy od rewolucji październikowej przenikali granice Polski.

Miłość do ojczyzny po latach niewoli poprowadziła policjantów na wojnę z bolszewikami w 1920 roku oraz w szeregi powstańców śląskich i wielkopolskich. Podczas naborów w szeregi policji preferowano uczestników walk o niepodległość.

Kandydaci na policjantów musieli wykazać się co najmniej świadectwem

ukończenia szkoły średniej, wiązało się to ze znajomością języka polskiego w piśmie i w słowie oraz umiejętnością liczenia.

Komendant główny, jego zastępcy i komendanci wojewódzcy musieli okazać się dyplomem wyższej uczelni. Poza tym wszyscy musieli mieć obywatelstwo polskie, wiek od 23 do 45 lat, zdrową i silną budowę ciała i odpowiedni wzrost, oraz nieskazitelną przeszłość. Nominację poprzedzała półroczna służba próbna.

W 1937 roku utworzono Policję drogową, do której zadań należało utrzymanie porządku i bezpieczeństwa na drogach publicznych.

Policja drogowa objęła swoim nadzorem drogi publiczne w województwach; warszawskim, łódzkim, kieleckim i krakowskim.



Przedwojenny policjant- Puławy

W policji drogowej służyli funkcjonariusze, którzy posiadali prawo jazdy, zostali przeszkoleni na specjalnym kursie absolwenci wojskowego kursu mechaników samochodowych.

W 1925 roku powstała policja wodna (rzeczna), która pełniła służbę na specjalnych posterunkach. Policja Państwowa była stałym i aktywnym członkiem Interpolu (Międzynarodowej Komisji Policji Kryminalnej z siedzibą w Wiedniu), poprzez który utrzymywała liczne kontakty z policjami państw europejskich.

Przez 21 lat istnienia zdobyła sobie reputację organizacji stojącej na wysokim poziomie fachowym i sprawnie kierowanej.

Warto nadmienić, że reformy policji przeprowadzone w Portugalii i Japonii opierały się w dużej mierze na polskich wzorcach.

Agresja Armii Czerwonej 17 września 1939 roku na wschodnie tereny Polski była zaskoczeniem dla wszystkich. Rozkaz Naczelnego Wodza, zakazujący walki z oddziałami radzieckimi, oznaczał przyjęcie postawy kapitulacyjnej, z czym jednak nie pogodziło się WP, policja i KOP. Sowietci internowali na kresach wschodnich oficerów WP, funkcjonariuszy P.P. i Służby Więziennej, sędziów, duchownych.



Polscy policjanci - granatowa policja, zdjęcie z 1939 r.

Obóz dla policjantów zlokalizowano w pobliżu Ostaszkowa, na wyspie jeziora Selinger, w pomieszczeniach prawosławnego klasztoru. W obozie przebywało 6 364 funkcjonariuszy i pracowników policji. Los policjantów z Ostaszkowa został przesądzony 5 marca 1940 r. na posiedzeniu Biura politycznego KC NKP. Podjęto wówczas decyzję akceptującą wniosek Komisarza Ludowego Ławrientija Berii o rozpatrzeniu w trybie specjalnym, z zastosowaniem kary śmierci przez rozstrzelanie, spraw polskich jeńców.

Wniosek swój Beria uzasadnił tym, iż: „*wszyscy oni są zatwardziałymi, nie rokującymi poprawy, wrogami władzy radzieckiej*”.

Akcję likwidacyjną obozu w Ostaszkowie rozpoczęto 4 kwietnia 1940 roku. Skazani policjanci przewożeni byli do Kalinina (obecnie Twer) do budynku NKWD. W celi śmierci ofiary były mordowane strzałem w tył głowy, po czym o świcie zwłoki przewożono samochodami tzw. „*czornymi woronami*” do miejscowości Miednoje. Tam, na terenie rekreacyjnym NKWD zwłoki grzebano w przygotowanych dołach.

Akcję mordowania ponad 6 000 jeńców zakończono 13 maja 1940 roku.

Policjanci nie umierali w boju, ale byli skrytobójczo mordowani i mogli mieć tylko nadzieję, że ich śmierć nie będzie daremna. Ginęli, bo jak powiedział podczas przesłuchania szef kalinińskiego NKWD Tokariew; „*Był policjantem, to wystarczy by go rozstrzelać.*”⁵



„I tylko p a m i ę ć została
Po tej katyńskiej nocy...
Pamięć n i e d a ł a się zgładzić,
Nie chciała ulec przemocy
I woła o s p r a w i e d l i w o ś ć
I p r a w d ę po świecie niesie -
Prawdę o jeńców tysiącach
Zgładzonych w katyńskim lesie”
M. Hemar, *Katyń*

⁵ Materiały pochodzą ze strony Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Rodziny Policyjnej 1939; <http://osrp.swietokrzyska.policja.gov.pl/rp1/wolnytekst/7379,Historia-Policji-Panstwowej-II-RP-1919-1939.html>



Sztandar Rodziny Policyjnej 1939

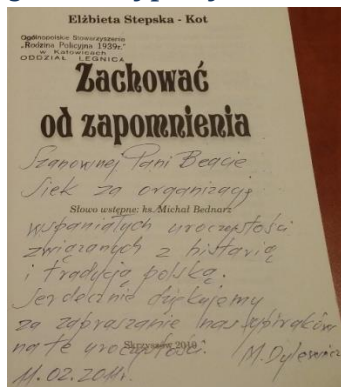
Członkowie Rodziny Policyjnej, podobnie jak i Sybiracy starają się, by pamięć o ich bliskich, którym nie dane było wrócić do Polski z „nieludzkiej ziemi”, starają się dawać świadectwo zbrodniom sowieckim – edukują młodzież w szkołach, piszą i publikują wspomnienia, uczestniczą w corocznych obchodach rocznicy katyńskiej.

Niezwykle poruszającą książkę napisała Pani Elżbieta Stepska – Kot, która jako dziecko przeżyła piekło deportacji.



Elżbieta Stepska - Kot

Tę książkę Pan Mieczysław Dylewicz przekazał na ręce polonistki VII LO – Pani Beaty Siek w prezencie od Rodziny Policyjnej w podziękowaniu za współpracę szkoły przy kultywowaniu tradycji patriotycznych, historycznych i szerzenie wiedzy o granatowej policji.



Strona tytułowa książki z dedykacją

Poniżej wzruszający fragment wspomnień Pani Elżbiety i inspirowany tym wydarzeniem wiersz napisany także przez autorkę.

„...Głód czynił w organizmie zastraszające spustoszenie. Z głodu straciłam wzrok. Na moich oczach pojawiły się białe łuski, nic nie widziałam.... Matuchna udaje się do Kazachów, prosi o radę. Kazachowie to ludzie bardzo życzliwi, uczynni. Uczyli nas szkoły życia i przetrwania, uczyli, jak bronić się przed wilkami, jak ziołami leczyć rany, jak walczyć z chorobami i wielu, wielu innych rzeczy. Kazaczka Sahii poradziła mamusi, że jedynym ratunkiem na moje oczy będzie zdobycie kilku ziarenek cukru.. Pytanie, skąd zdobyć cukier? Otrzymuje mamusia przepustkę z pracy i idzie pieszo 37 km do miejscowości Żelezienka. Zabiera jedyny swój płaszcz i zamienia go na 5 łyżeczek cukru.... Przez kilka dni zasypują mi oczy cukrem. Okropny ból. Cukier rysuje oczy. Za każdym razem krzyczę i płaczę. Ze łzami rozplywa się cukier i zdziera ową białą łuskę z moich oczu. Po kilku dniach tego bolesnego leczenia widzę.... Bielmo schodzi... To jednak nie koniec moich cierpień i chorób. Choruję na dur brzuszny, malarię, zapalenia i wszystkie choroby, na które zapadają dzieci. Z gorączki tracę pamięć. Nie ma nikogo, kto przytuli do serca sierotę, kto poda kęsek chleba lub kropelkę wody. Obok mnie leży chora moja siostra. Szepcze cichusko do mnie: Nie bój się! Chyba już pomrzemy!

W nogach naszego barłogu leży psina, która przewalała się do nas, liże nasze stopy i usta. Każde zbliżające się wilczysko do naszej ziemianki jest

SZKOLNY KURIER PATRIOTYCZNY

odstraszane przez tę przybłądę. Nagle suka zrywa się i biegnie w nieznane. Już jej nie ma przy nas. Chyba uciekła od nas. Dla nas jest to już obojętne. Nawet nie reagujemy na nieobecność psiny. Po jakimś czasie suka przybiega. W pysku ma duży bochenek chleba, który skradła w piekarni sowchozowej. Rzuca ten chleb na nasz barłóg. Zapach chleba przywołuje nas do przytomności. Siostra ostatkiem sił odrywa kawałek chlebusia, podaje mi i wciska do moich ust, sama zjada kawałek i następnie odrywa kawałek chleba i daje psu. To pożywienie przywraca nam siły. Wraca trzeźwość myśli. Ukrywamy resztki chleba. Przez zachłanność i spotęgowane pragnienie jedzenia nie dzielimy się z rówieśnikami. Zostawiamy porcję chleba mamusi i dziękujemy Bogu za cud ocalenia. ...”

Poniżej wiersz napisany przez autorkę tych wspomnień, wyjaśniający, skąd wzięła się psina, która uratowała jej i jej siostrze życie:

SUKA

Obok ziemianki, na kępie trawy –
Leżała głodna psina,
Z sierści obdarta, ogon złamany,
Z pyska spływała jej ślina.

A kiedy dzieci do niej podeszły –
Uciekać siły już nie miała.
Tylko w obronie łapki unosi.
Jakby jedzenia zebrała.

Cóż dać jej mogły dzieci tułacze
Głodne tak jak to zwierzę.
Zebrały z trawy kropelki rosy –
Psisko rączęta im liże.

Dzieci pobiegły tam na polanę,
Gdzie garstkę poziomek przyniosły,
Parę ziarenek pszenicy suchej –

Psa do ziemianki zaniósł.

Wtykają psinie ziarnka pszenicy,
Trawę i kilka poziomek –
Psina posłusznie zjada to wszystko,
Zbolałym merda ogonem.

Do zdrowia wraca, sierść ją porasta,
Krzywym ogonkiem wachluje.
Kiedy wilczysko do nas się zbliża...
Na krok nas nie odstępuje.

Warczy i szczeka. Sierść swą najeża,
I białe kły odsłania –
To w bok odskoczy, do wilków podbiega
Wilki od dzieci odgania...

Tak, nie opuszcza nas nawet na chwilę.
Za życie odpłaca wiernością
W ziemiance mieszka, nogi nam liże,
Patrząc nam w oczy z lubością.

A kiedy zima sroga nastała
Z głodu opuchły nam brzuszki.
Suka (choć zwierzę) jakby coś czuła.
Grzeje nam bosc nóżki.

W głodzie i omdleniu – dzieci leżały
Nie mogły już unieść głowy...
Psisko z skowytym gdzieś się wyrwało –
Poszło hen tam – na łowy.

Pod wieczór wraca, zdobycz przynosi.
Tak! Duży bochen chleba...
Czy nie był to - DAR NIEBA?



*Skrzysów,
dnia 7 marca 1994*